Jeździec, który przywraca pamięć

Rozmowa z Włodzimierzem „Wową” Brodeckim – człowiekiem, który wymyślił samotne rajdy konne po Europie i był trzykrotnie na koniu na Monte Cassino.



1 września 1984 roku. Major Włodzimierz „Wowa” Brodecki oddaje hołd poległym polskim żołnierzom na cmentarzu na Monte Cassino, fot. arch. Adama Brykajły.

Janusz Szlechta:

Może Pan wytłumaczyć, skąd u Pana ta wielka miłość do koni?

Włodzimierz Brodecki

Mój ojciec był kawalerzystą w Wołyńskiej Brygadzie Kawalerii, między innymi brał udział w bitwie pod Mokrą w 1939 roku. Potem, w czasie II wojny światowej, był żołnierzem 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej, a w 1945 roku trafił

do I Samodzielnej Brygady Kawalerii, walczył o Wał Pomorski, Berlin, a szlak bojowy zakończył w Sandau. Po wojnie był kwatermistrzem w szpitalu wojskowym w Chełmie Lubelskim. Tam też były konie… Dzięki ojcu wyrosłem w klimacie wojskowym. Stąd te moje żakinady, przejażdżki i rajdy konne już w szkole średniej i potem podczas studiów. Lubię tak gnać na koniu w świat, bo wiem, że koń mnie nie zawiedzie. Spełniam też w ten sposób swoje tęsknoty za przestrzenią, za horyzontem…

Woli Pan konie od ludzi?

W moim życiu zawsze najważniejsze były konie, teatr i dziewczyny – właśnie w takiej kolejności. Bo z końmi miałem do czynienia od dziecka. Przyjaźń z końmi bardzo mnie podbudowuje, dodaje mi sił.

Miał Pan ulubione konie?

O tak, wiele. Pierwszy, na którego wsiadłem jako mały chłopiec, to był „Gniady". Wspaniały koń rasy mongolskiej. Nieduży, z charakterem. Gryzł, kopał wszystkich dookoła, ale w stosunku do mnie był łagodny. Wspomnę też o klaczy „Kamea" – to z nią w 1984 roku po raz pierwszy dotarłem na Monte Cassino. „Kamea" była po ogierze „Kobryniu", mistrzu Polski w skokach i ujeżdżaniu, który na olimpiadzie w Moskwie w 1980 roku zdobył srebrny medal. Klacz tę dostałem na wyprawę od artysty malarza

z Kielc – Tadeusza Tchórza. Na trzecią wyprawę na Monte Cassino wyruszyłem na koniu „Tornado”, który był synem „Kamei”. To prawdziwy arystokrata. „Tornado” był bardzo medialny, lubił być w centrum zainteresowania i wiedział, jak się ustawić do kamery.

Wymyślił Pan samotne rajdy konne po Polsce, po Europie. To wymaga ogromnego wysiłku, przygotowań. Nie lepiej było po prostu wsiąść w samochód, albo w autobus turystyczny, którym Pana zawiozą na miejsce, wszystko pokażą, wytłumaczą?

Dla mnie najważniejszy jest cel oraz sposób podróży. Chciałem dotrzeć do tych wszystkich miejsc, w których walczyli kiedyś polscy żołnierze. Chciałem pokłonić się tym miejscom, oddać hołd prochom naszych żołnierzy. Trudno mi było sobie wyobrazić, że taką wyjątkową pielgrzymkę odbędę autokarem. Nie chciałem być zwykłym turystą. Zawsze udawałem się do tych ważnych dla Polaków miejsc z symbolami polskiego oręża – na koniu, w mundurze majora Hubala… Mundur ten, po zakończeniu zdjęć do filmu „Hubal”, trafił do Teatru Ludowego w Krakowie, kierowanego przez Ryszarda Filipskiego – to on grał rolę Hubala. W 1984 roku Henryk Giżycki, dyrektor Teatru Ludowego, wręczył mi ten mundur, abym pojechał w nim na Monte Cassino. Nie bardzo pasował na mnie, bo Ryszard Filipski był niższy ode mnie i tęższy, więc konieczne były przeróbki.

Kiedy zaczęły się te Pańskie konne wojaże po Polsce, a potem po Europie?

To była konsekwencja mojego ciągłego obcowania z końmi. W 1965 roku ekipa filmowców kręciła film przyrodniczy w puszczy nadburzańskiej, niedaleko Sobiboru, gdzie w czasie wojny był niemiecki obóz zagłady. Któregoś wieczoru, na zakończenie dnia zdjęciowego, rozpaliliśmy ognisko. Jakoś tak nas naszło, że zaczęliśmy opowiadać o swoich marzeniach. Reżyserka filmu powiedziała, że chce popłynąć tratwą Wisłą do Gdańska. Któryś z kolegów powiedział, że chce objechać Polskę na motorze, a ja – że na koniu. To zrobiło na wszystkich wrażenie. Od razu zgłosiło się kilka chętnych osób. Powiedziałem, że muszą się nauczyć jeździć konno, musimy się dobrze przygotować – i dlatego wyruszymy za pięć lat. Ale po pięciu latach już nikogo taka wyprawa nie interesowała. Wyruszyłem więc sam. Wyjąłem z szafy medale i odznaczenia ojca, które dostał za udział w różnych bitwach i spisałem z nich nazwy miejscowości. Potem naniosłem je na mapę i tak powstała trasa, będąca powtórzeniem szlaku bojowego I Samodzielnej Brygady Kawalerii, w której ojciec walczył pod koniec II wojny: Lublin, Chełm Lubelski, Warszawa, Bydgoszcz, Berlin. Wyruszyłem na klaczy „Dzidzia", którą dostałem od pewnej piętnastoletniej dziewczyny. To był rok 1970, trudny dla Polski.

Nie bał się Pan tak samotnie jechać... Co Pan z tego rajdu

zapamiętał?

Pamiętam wjazd do Warszawy. Milicja zatrzymała mnie na rogatkach i nie chciała wpuścić do miasta. Na szczęście pojawili się dziennikarze i milicja nie miała wyjścia. W gazetach o nas pisali i pokazali w kronice filmowej. Najmocniej przeżyłem spotkania ze starymi żołnierzami, uczestnikami walk, którzy zapraszali mnie do swoich domów. Jeden z nich, Michał Antochow, wsiadł na swojego konia i przez trzy dni mi towarzyszył, opowiadając o różnych wydarzeniach sprzed lat, których był świadkiem bądź uczestnikiem. Razem odtworzyliśmy zaślubiny Polski z morzem. Wtedy zrozumiałem, że dobrze zrobiłem, wybierając się na tę wyprawę. Potem już nie miałem wyjścia – co pięć lat ruszałem tym samym szlakiem, odwiedzając te same miejsca. Widziałem jednak, jak zmieniają się te miejsca i ludzie…

To wtedy przyszło Panu do głowy, żeby wyruszyć do Włoch, na Monte Cassino?

Tak. Pomyślałem sobie, że może by tak pojechać w okrągłą rocznicę bitwy – wypadło mi, że najlepiej byłoby w 40. rocznicę, a więc w roku 1984.

Sam Pan się wybrał?

Była nas trójka: Adam Brykajło – absolwent Akademii Górniczo-Hutniczej (później został moim szwagrem) i Ania Bizukojć – studentka III roku Uniwersytetu Jagiellońskiego. Adam prowadził fiata 126p z przyczepą, dbał o wszystkie sprawy kwatermistrzowskie – z jedzeniem dla konia włącznie i był naszym fotografem. Ania znała trzy języki: angielski, niemiecki i włoski, była więc tłumaczką, dziennikarką i prowadziła kronikę wyprawy.

Europa była wtedy podzielona, z granicami trudnymi do przejścia… Co było największą przeszkodą w zrealizowaniu tego wyjazdu?

Przygotowywaliśmy się pięć lat do wyprawy. Najwięcej problemów było z uzyskaniem pozwolenia na jej zorganizowanie, bo władzom taki pomysł się nie podobał. Problem był też z otrzymaniem paszportów i wiz do Włoch – trzeba było stać półtora miesiąca w kolejce przed ambasadą włoską w Warszawie. Co kilka dni w tej kolejce trzeba było się zgłosić. Najpierw po kolei my jeździliśmy, a potem znaleźliśmy ludzi, którzy chodzili za nas do kolejki.

No i jak sobie poradziliście?

8 maja 1984 roku wyruszyliśmy z Chełma Lubelskiego do Krakowa. Ja jechałem na klaczy „Kamea”. W Krakowie powitali

nas kombatanci spod Monte Cassino, dziennikarze. 18 maja, w dniu zdobycia Monte Cassino przez żołnierzy II Korpusu Polskiego, mieliśmy wyruszyć z Krakowa, pisały o tym gazety, tylko że my… nie mieliśmy paszportów. Zrobiła się lekka zadyma i wreszcie dostaliśmy zgodę z ówczesnego Ministerstwa Sportu i Turystyki na wyjazd. To wystarczyło. Kiedy dostaliśmy paszporty, natychmiast pojechaliśmy do ambasady włoskiej po wizy.



Anna Bizukojć, Adam Brykajło i Włodzimierz „Wowa” Brodecki (na koniu) przed bramą cmentarza polskich żołnierzy na Monte Cassino, 1 września 1984 r.

Koń też miał paszport?

Nie. Miał cały plik badań weterynaryjnych przetłumaczonych na

angielski i niemiecki, i jedno świadectwo.

No i ruszyliście przez Europę. Nocowaliście w hotelach, żywiliście się w restauracjach – skąd mieliście na to pieniądze?

Nic z tych rzeczy. Mieliśmy ze sobą 500 dolarów, uciułanych przez całą rodzinę. Chcieliśmy jechać najkrótszą drogą, przez Austrię, ale kiedy Austriacy zażądali 300 dolarów kaucji za każdy dzień pobytu na terenie ich kraju – zrezygnowaliśmy. Pojechaliśmy przez Czechosłowację, Węgry i Jugosławię. Problemy mieliśmy tylko na granicach, bo były strasznie długie kolejki, no i pogranicznicy patrzyli na nas dziwnie. Ale wszystkie granice udało się pokonać sposobem. W każdym z tych krajów pojawiali się dziennikarze, pisali o nas. Ludzie w miasteczkach i wsiach, gdzie się zatrzymywaliśmy, przyjmowali nas w swoich domach, gościli, karmili nas i konia. Nie mogliśmy wyjechać od nich bez prezentu – worka owsa dla konika bądź flaszki dobrej wódki dla nas.

We Włoszech, w porcie Ancona, czekali na nas dziennikarze, fotoreporterzy, kombatanci włoscy i polscy w mundurach, z medalami. Byliśmy podobnie serdecznie goszczeni przez zwykłych ludzi i właścicieli klubów jeździeckich.

Jak wyglądał Pana wjazd do miasta Cassino i spotkanie z

górą?

Dotarliśmy bez problemu. Pamiętam, że zobaczyłem tablicę z napisem „Cassino”, omal nie zemdlałem, tak wielkie były emocje. Zrobiliśmy sobie pamiątkowe zdjęcia przy tablicy. Następnego dnia, w niedzielę, pojechaliśmy złożyć kwiaty na cmentarzu żołnierzy brytyjskich.

W poniedziałek rano, 1 września, wyruszyliśmy na wzgórze Monte Cassino. Ja jechałem na koniu, w mundurze. Towarzyszyli mi dziennikarze włoscy, mieszkańcy i turyści, którzy bez przerwy robili zdjęcia. Na parkingu podszedł do mnie starszy Niemiec z córką, bo chcieli sobie zrobić ze mną zdjęcie. Powiedział mi, że walczył na Monte Cassino. Co roku przyjeżdżał tutaj dziękować Bogu, że przeżył i uczcić poległych kolegów. Opowiadał, że przeżył tutaj piekło. Potem długo utrzymywaliśmy kontakt.

Na górę wszedłem pieszo, a koń za mną. Przez dwie godziny chodziliśmy pomiędzy grobami polskich żołnierzy. Kiedy zatrzymywałem się, to i koń się zatrzymywał, kiedy ja salutowałem – koń też kiwał głową… To było niesamowite przeżycie.

Jak spisywała się „Kamea”?

Znakomicie, to wspaniała klacz. W Czechosłowacji zważyliśmy ją

przed wyprawą do Włoch i po powrocie – okazało się, że była cięższa o 40 kilogramów, natomiast ja schudłem 7 kg. Pokonaliśmy 4,5 tysiąca kilometrów w 4 miesiące. Ania wróciła do Polski pociągiem, bo rozpoczęły się jej zajęcia na uczelni. Ja z Adamem wracałem tą samą drogą, ale już o wiele szybciej, bo było zimno i na granicach nie było tłoku.

Dwadzieścia lat później znowu wybrał się Pan na Monte Cassino…

To była zupełnie inna wyprawa. Zabrałem ze sobą rodzinę – żonę Grażynę i syna Włodka. Żona prowadziła samochód, koń jechał w przyczepie, syn robił zdjęcia i opiekował się koniem. W 1984 r. wyjeżdżaliśmy z socjalistycznej Polski i musieliśmy przebijać się przez europejskie granice. 10 lat później pojechałem drugi raz – wiele rzeczy przyszło łatwiej i prościej, bo wyjeżdżałem z Polski, która stawiała pierwsze kroki w demokracji. W roku 2004 wyruszyliśmy z Polski wolnej, która powróciła do Europy. Zmieniło się wszystko, także koń – „Kameę” zastąpił jej syn „Tornado”. Cały czas jechał w przyczepie, a ja wsiadłem na niego dopiero we Włoszech, w Anconie. Pokonaliśmy w sumie 300 kilometrów. Była to prawie wycieczka rekreacyjna.

Policzył Pan, ile czasu spędził Pan na koniu, ile przejechał Pan kilometrów?

Na pewno objechałbym kulę ziemską i jeszcze wystarczyłoby na sentymentalną wyprawę na Wołyń…



Włodzimierz Wowa Brodecki podpisuje książkę „Wowa Brodecki. Jeździec pamięci” w księgarni „Nowego Dziennika” w Nowym Jorku, fot. Janusz Szlechta.



Włodzimierz Brodecki przy grobie gen. Andersa na cmentarzu na Monte Cassino, lipiec 2004 r.

Drugą Pana miłością jest teatr. Ale przegrywał jednak z końmi…

Teatr pojawił się w moim życiu bardzo wcześnie, niewiele później niż konie. Kiedy byłem w III klasie liceum, w jednej sztuce w Teatrze Ziemi Chełmskiej zagrałem wnuczka. Chyba wypadłem nieźle, bo potem były następne sztuki. Kiedy mój przyjaciel Heniu Giżycki, który grał w filmie „Hubal", objął kierownictwo teatru w Kielcach, zaraz mnie tam ściągnął.

Potem zagrałem w kilku serialach telewizyjnych, m.in.:

„Crimen”, „Kanclerz” i „Żelazna ręka”. Zagrałem we „Wszyscy i nikt” – bardzo mocnym filmie, który pokazuje byłego żołnierza AK walczącego z Ludowym Wojskiem Polskim; nakręcono brawurowe zdjęcia z moim udziałem – strzelam z karabinu maszynowego podczas jazdy na koniu, w ogóle nie trzymając konia. Zagrałem też epizodyczną rolę Żyda w „Liście Schindlera” Stevena Spielberga (są to sekwencje zaraz na początku), a w „Ogniem i mieczem” gram pisarza Bogdana Chmielnickiego.

Teraz jestem już na emeryturze, ale wciąż gram w teatrze, na małej scenie Teatru Ludowego, która mieści się w podziemiach krakowskiego Ratusza.

Nowy Jork, 2010 r.

Włodzimierz „Wowa” Brodecki urodził się w 1942 r. w Uściługu Wołyńskim. Mieszka w Krakowie. Zagrał w kilkunastu filmach i serialach telewizyjnych. Pierwszy samotny rajd konny odbył w 1970 r. – szlakiem bojowym I Samodzielnej Brygady Kawalerii w latach 1944-1945. W sumie ma za sobą 30 wypraw. W 2008 r. – za działalność w czasie stanu wojennego w podziemnej Solidarności – został odznaczony przez prezydenta

Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. W październiku 2009 r. ukazała się książka Ryszarda Dzieszyńskiego „Wowa Brodecki. Jeździec pamięci” wydana przez Salonik – Wydawnictwo i Drukarnię Towarzystwa Słowaków w Polsce.

Wywiad pochodzi z książki Janusza M. Szlechty „Widziane stamtąd. Wybór wywiadów z Polakami żyjącymi gdzieś w świecie”, wyd. Instytut Wydawniczy Kreator, 2017 r.

JANUSZ M. SZLECHTA – skończył studia na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Jest również absolwentem podyplomowych studiów na Wydziale Dziennikarstwa na Uniwersytecie Warszawskim. Dziennikarstwo stało się jego zawodem i pasją. Zaczynał w Radiu Kraków, potem kilka lat pracował w Tarnowskim Magazynie Informacyjnym „TeMI", a następnie w tygodniku „Wieści" w Krakowie i w "Gazecie Krakowskiej". W sierpniu 1995 roku wyjechał do Stanów Zjednoczonych i podjął pracę w „Nowym Dzienniku" w Nowym Jorku - największej, prestiżowej polonijnej gazecie w USA. Do stycznia 2016 roku pracował tam jako szef działu polonijnego, zajmując się sprawami dotyczącymi życia Polaków w USA i w świecie.

Żyjąc wśród amerykańskiej Polonii, stara się jej służyć nie tylko swoim pisaniem, ale i działalnością społeczną. Od wielu lat jest członkiem Kongresu Polonii Amerykańskiej w New Jersey. W 2005 roku otrzymał nagrodę Tarnowskiej Fundacji Kulturalnej - „Uskrzydlony". A w marcu 2012 roku kapituła przyznała mu nagrodę „Wybitny Polak w Nowym Jorku 2012" w kategorii „osobowość" oraz dyplom Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego. Nagroda ta jest niejako podsumowaniem zarówno jego działalności dziennikarskiej, jak i tej na niwie społecznej.



ISBN: 978-83-7344-069-2

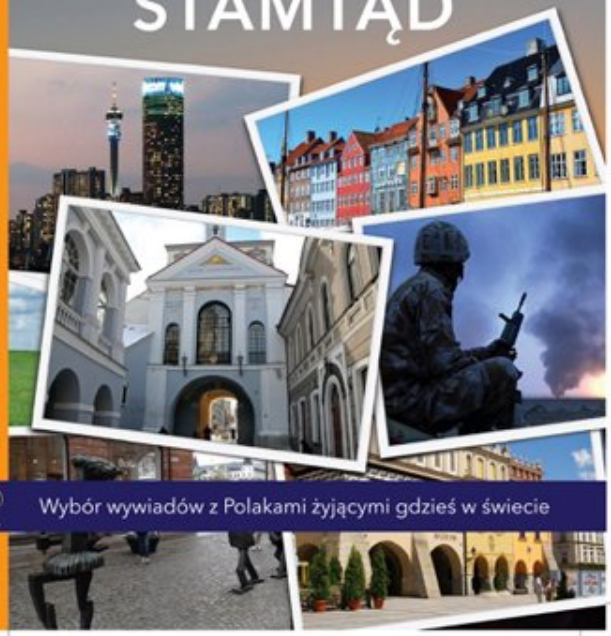
KREATOR
www.nck.pl

Janusz M. Szlechta

WIDZIANE STAMTĄD

Janusz M. Szlechta

WIDZIANE STAMTĄD



Wybór wywiadów z Polakami żyjącymi gdzieś w świecie